

II/315 k > Głód, zimno i strach <

© ARCHIWUM WSKRÓCONE

Moje wspomnienia z Syberii.

Nr dziennika

9/5

551

3X

[Mieszkałam w Turzysku, pow. Kowel, z rodzicami i czterema braćmi. Byliśmy w wieku od 3 miesięcy do 12 lat. Ja byłam najstarsza.

[10 lutego 1940 r. o godz. 2<sup>00</sup> w nocy, przyjechali Ukraińcy na saniach i rozkazali, by natychmiast zbierać się do drogi. Nie pozwolili nic ze sobą zabrać. W dzieży stało wyrobione ciasto na chleb, mama błagała ich, by poczekać, aż chleb się upiecze. Nie zgodzili się i poszturchując nas kolbami od karabinów wepchnęli siłą na sanie. Po przywiezieniu na stację kolejową załadowano nas wraz z innymi ludźmi do towarowych wagonów z piętrowymi pryczami. W każdym wagonie było tak dużo ludzi, że leżeli obok siebie jak śledzie.

[W wagonach było bardzo zimno, ubrania i włosy przymarzały nam do ścian. Pociąg prawie nie zatrzymywał się. Nie dawano nam nic do jedzenia, ani picia.

Wagony od zewnątrz były zaryglowane a okna zabite deskami.

[W ciągu dwóch tygodni zajechaliśmy aż za góry Uralskie, do stacji Kruticha.

Dalej jechaliśmy saniami, do baraków wybudowanych w lesie. Baraki były zbudowane z okrągłaków i uszczelnione mchem, temperatura na zewnątrz dochodziła do minus 65 stopni C. Wilki wyły po całych nocach, baliśmy się bardzo. Straszna to była zima, głód i strach, jedliśmy korę z drzewa lipowego. Zieloną korę zżynało się cienko, resztę suszyło, potem skrobało na mąkę. Z tej mąki, zaparzonej gorącą wodą, robiło się takie klajstrowate ciasto, całkowicie niestrawne. Bardzo dużo ludzi umierało od tego, gdyż ciasto twardniało w jelitach jak gips, dlatego też NKWD, <sup>12</sup> Narodnyj Komisar <sup>10</sup> Wnutriennych Dzieł (zabraniało to jeść. Tam zmarło dwóch moich braci, jeden <sup>10-letni</sup> 10-letni brat był taki spuchnięty, że wyglądał jak balon z gąbki, drugi, 3-letni, zmarł na cholerynkę. Razem z nami był wywieziony lekarz żyd, ale nie było żadnych leków.

[Początkowo nie wolno było nam się poruszać, nie wolno było odwiedzać nawet najbliższych sąsiadów, znaleźliśmy tylko głód, zimno i strach.

[Latem było trochę łatwiej żyć, były liście, korzenie, kwiaty, jagody. Najlepsza była pokrzywa, ale trzeba było po nią iść daleko, nawet do 30 km, gdyż w pobliżu było już wszystko wycięte.

[Najgorsze ze wszystkiego było robactwo, pluskwy i prusaki, niezliczone ich ilości. By uchronić się od pluskiew, wkładaliśmy nogi żelaznych łóżek do pojemników z wodą, ale na jedną rodzinę było jedno łóżko, więc reszta rodziny spała na podłodze i trzeba było posłanie okładać mokrymi szmatami. Prusaki były wszędzie, w każdej najmniejszej szczelinie, w ubraniu, nawet we włosach. <sup>13</sup> Na stołówce wisiał wielki portret Stalina bez ram. Za tym portretem było tak dużo prusaków, że papier odstawał od ściany i słychać było nieustający głośny szelest. Prusaki wpadały do kotła z zupą i do naczyń, z których jedliśmy. Mój ojciec był stróżem, pewnego razu powiedział do kucharki Ukrainki, która też była wywieziona z Polski, że "gdyby

to nie był portret Stalina, tylko jakiś inny papier, mogła by to spalić wraz z milionami jajeczek i robactwem". Kucharka doniosła do NKWD, że stróż kazał spalić portret Stalina. Ojca zabrano do więzienia i znęcano się w najrozmaitszy sposób. Na przykład był kilkakrotnie wyprowadzany na rozstrzelanie wraz z innymi ludźmi. Tamtych ludzi rozstrzelano, a oju mówiono, że w niedługim czasie też go to czeka. Nie rozstrzelano go, ale ojciec od tego czasu bardzo podupadł na zdrowiu, zaczął chorować.

Jeżeli chodzi o wyżywienie, to ci, którzy pracowali, dostawali po 30 dkg chleba dziennie, a starszycy i dzieci po 20 dkg. Dostawaliśmy też zupełną zamarzniętych ziemniaków i paru liśćmi kapusty raz na dzień. Chleb był taki ciężki i gliniasty, że jak się ścisnęło w dłoni, to między palcami wychodziła <sup>ma</sup> kładka glina. Wygryzałam tę glinę <sup>cała</sup> między palców i nim doczekałam się zupy, to chleba już nie było.

Od września 1940 r. zaczęłam chodzić do szkoły. W naszej osadzie była szkoła od I do IV klasy, a ja wraz z koleżanką Wiadomską Wacławą chodziłam już do V klasy i musiałyśmy dojeżdżać do szkoły 22 km. Do stacji Kruticha szłyśmy 12 km po torach wąskotorówki, odprowadzane przez kogoś z rodziców z zapalonym łuczywem w rękach, w obronę przed wilkami. Potem 10 km jechałyśmy pociągiem. Pewnego razu ojciec schował nas w parowozie wąskotorówki, mówiąc, że dojedziemy do Krutichy, nie zmarzniemy i ojciec nie musi nas odprowadzać. Po przejechaniu około 5 km parowóz zatrzymał się i maszynista nas zauważył. Bardzo na nas krzyczał i wyrzucił na śnieg. Błagałyśmy go, żeby nas dowiózł do stacji, bałyśmy się wilków, nie miałyśmy ze sobą łuczywa, ale nic nie pomogło, parowóz odjechał, a my biegłyśmy, ile sił w nogach za tym parowozem. Szczęśliwie dotarłyśmy do stacji i wsiadłyśmy do pociągu. Nie znałam rosyjskich liter, ale szybko nauczyłam się i w dość krótkim czasie stałam się dobrą uczennicą.

Od 13-ego roku życia zaczęłam pracować. W zimie chodziłam do szkoły, a w lecie pracowałam przy oczyszczaniu lasu. Różniłyśmy drzewo na metry i ustawialiśmy w kubiki. Z suchych sosen różniłyśmy krążki grubości 5-7 cm i rąbaliśmy w kostkę na tak zwane "czurki". Z czurek wyrabiano paliwo do "kukuruźników". Nie miałam siły, ani wprawy, i ciągle miałam pokaleczone palce u obu rąk. Następna moja praca była przy budowie kolei wąskotorowej UZD (Uskaja Żeleznaja Doroga). Na tej budowie pracowało nas pięcioro Polaków: Kisiel Kazimiera, Kłos Stanisław, Kulesza Stanisław, Talaga Bolesław i ja Tracz Genowefa. Brygadzystą był starszy człowiek, Rosjanin.

Pewnego roku moja mama i jeszcze dwie inne kobiety, pani Kisiel i Wiadomska, przez dwa tygodnie zbierały kłosa ze zboża, ledwo wystającego ze śniegu. Wyzbierały te kłosa na 5-letnich hektarach, za co dostały po 2 kg mąki. Pamiętam, jak ojcowie wysłali mnie i dwie moje koleżanki po żywność do sochwozu oddalonego o 36 km, gdzie pracowały nasze mamy. Idąc tam musiałyśmy przechodzić przez rzekę po kładce. Wracając na drugi dzień z paroma ziemniakami i <sup>z</sup> <sup>ten</sup> kawałku kołacza z przerażeniem spostrze-



głyszmy, że nie ma kładki na rzece. PO drodze mijaliśmy paru młodych chłopców, Rosjan, którzy coś do nas mówili i śmiali się, a my bardzo bałyśmy się ich. To chyba oni zerwali kładkę na rzece. Doszliśmy do brodu, rzeka miała brzegi wysokie, woda zimna i rwąca, a przy brzegu zamarznęta, sięgała nam po pachy. Nogami trzeba było sunąć po dnie rzeki, gdyż wartki nurt podrywał nogi i wywracał nas.

Zmarznęte i przemoknięte wróciłyśmy do domu. Odchorowałyśmy to ciężko. Ja byłam słaba i wątła, chorowałam najciężej, byłam bliska śmierci. Zrozpaczony ojciec odkopał pod śniegu mrowisko, nabrał mrówek, a mama zalała je gorącą wodą w wannie od prania i tak mnie do tej wody położono, przykrywając kocem. Mdlałam co chwilę, chorowałam długo, ale po jakimś czasie wyzdrowiałam, jednakże ślad pozostał, od tamtego czasu zaczęły mnie gnębić bóle reumatyczne.

Jesienią 1944r. wywieziono nas, Polaków, z wojew. <sup>swierdłowskiego</sup> do wojew. Chersońskiego, niby to na odżywienie, bo wszyscy wyglądali jak kościotrupy. Ale tam też nie było lepiej. Nawet nie pozwalano nam zbierać kłosów po samosiejach na <sup>u</sup>ogorach. Jeżeli kogoś złapano, zamykano do lochu na 24 godz. Ja i mój brat też siedzieliśmy w lochu.

Kiedy wieziono nas do <sup>wyjazdowe</sup> pew. Chersońskiego, w pewnej chwili pociąg zatrzymał się w polu. Maszynista i pomocnik wybiegli, by narwać słonecznika. Polacy też pobiegli. Za słonecznikiem rosły pastewne buraki. Moja mama i bracia leżeli chorzy, ojciec nie jechał z nami, był w więzieniu, więc ja musiałam się troszczyć o rodzinę. Kiedy ujrzałam, że inni niosą buraki, wyskoczyłam także i przyniosłam trzy buraki. Już je wrzucałam do wagonu, kiedy zauważyli to konwojenci, Rosjanie i jeden Polak nazwiskiem Karp. Zabrali mi dwa buraki mówiąc, że to buraki państwowe i nie wolno <sup>ich</sup> je brać.

W dalszym ciągu tej podróży dojechaliśmy do jakiejś stacji, której nazwy nie pamiętam. Pociąg zatrzymał się, ludzie wysiedli, by rozpalić jakieś ognisko i ugotować te buraki. Czasu było mało, każdy wpychał swój garnek z burakiem bliżej ognia, a mój garnek ciągle odsuwano. Innym buraki pogotowały się, a mój ledwo się zagrzał, kiedy żołnierz kazał gasić ognisko. Zgarnęłam jeszcze szybko żar, mając nadzieję, że burak zdąży się ugotować, nim pociąg ruszy, ale podszedł jakiś inny kosooki żołnierz, kopnął w mój garnek i wszystko się wylało. Zrozpaczona zaczęłam strasznie płakać i krzyczeć, co dam mojej chorej mamie i braciom do zjedzenia, cały dzień nic nie jedliśmy prócz słonej wody. Postanowiłam odebrać sobie życie, ale moja mama, powiadomiona przez innych, wysłała po mnie brata i ten zabrał mnie do wagonu. Ktoś się nad nami zlitował i dał nam resztki swojego buraka.

Po zakończeniu wojny w 1945r. do miejscowości, w której przebywaliśmy, przyjechało dobrowolnie wiele ukraińskich rodzin z wojew. <sup>lubelskiego</sup> z całym dobytkiem. Niektóre rodziny zajmowały nawet po trzy wagony. Ja i mój brat paśliśmy u nich krowy. Pewnego dnia jedna z krów zaginęła w wysokich zielskach i trawach <sup>u</sup>burianach). Nas i ojca aresztowano i trzymano w zamknięciu, dopóki krowa nie znalazła się.

[Pomieszczenie, w którym byliśmy zamknięci, było strasznie zanieczyszczone odchodami ludzkimi, bo nikogo nie wypuszczano za potrzebą fizjologiczną, a ściany od dołu do sufitu zapisane były datami i nazwiskami ludzi, którzy tu przed nami byli zamknięci.]

[W 1946 roku powracaliśmy do Polski. Na stacji Krościenko pociąg zatrzymał się, a ja z ~~drugą~~ <sup>inną</sup> kobietą nazwiskiem Szczepkowska, wyszłam do najbliższego zabudowania, by uprosić coś do zjedzenia. Kiedy wchodziłam za ogrodzenie, zerwał się pies z łańcucha i ugrazł mnie w łydkę. Wyszła gospodyni i powiedziała ze złością "nie tra było listy" i nic do jedzenia nie dostałyśmy. Noga krwawiła bardzo i bolała, nie mogłam szybko iść ~~do wagonu~~ i pozostałam w tyle za tą kobietą. Kiedy byłam już blisko wagonu, wyskoczył jakiś pijany żołnierz i zaczął mnie szarpać i ciągnąć za wagony. Strasznie się bałam, na cały głos krzyczałam i wzywałam pomocy, wtedy nadbiegł jakiś oficer i kopiąc pijanego żołnierza wyrwał mnie z jego rąk. Za chwilę pociąg ruszył.]

[Po paru dniach dojechaliśmy do stacji Żagan<sup>ie</sup>. Tam dostaliśmy z PUR-u trochę żywności i zapomogę pieniężną, a chory ojciec został zabrany do szpitala. Dalej samochodami przewieziono nas do wsi Chrobrów, jakiś czas tam zatrzymaliśmy się, ale na stałe osiedliliśmy się we wsi Stara Kopernia. W roku 1948 wyszłam za mąż za osadnika wojskowego Lazurka Henryka. W 1960 roku mój mąż zginął tragicznie a ja zostałam sama z trojgiem nieletnich dzieci. Po dwunastu latach wdowieństwa wyszłam ponownie za mąż za Orłowskiego.]

© ARCHIWUM WŚRODNI

Orłowska Genowefa

/-/ Orłowska Genowefa

41-300 Dąbrowa Górnicza 1

ul. Południowa 21.



Mieszkałam w Turzysku, pow. Kowel, z rodzicami i czterema braćmi. Byliśmy w wieku od 3 miesięcy do 12 lat. Ja byłam najstarsza.

10 lutego 1940 r., o godz. 2.00 w nocy, przyjechali Ukraińcy na saniach i rozkazali, by natychmiast zbierać się do drogi. Nie pozwolili nic ze sobą zabrać. W dzieży stało wyrobione ciasto na chleb, mama błagała ich, by poczekać, aż chleb się upiecze. Nie zgodzili się i poszturchując nas kolbami karabinów wepchnęli siłą na sanie. Po przywiezieniu na stację kolejową załadowano nas wraz z innymi ludźmi do towarowych wagonów z piętrowymi pryczami. W każdym wagonie było tak dużo ludzi, że leżeli obok siebie jak śledzie.

W wagonach było bardzo zimno, ubrania i włosy przymarzały nam do ścieł. Pociąg prawie nie zatrzymywał się. Nie dawano nam nic do jedzenia, ani picia. Wagony od zewnątrz były zaryglowane, a okna zabite deskami.

W ciągu dwóch tygodni zajechaliliśmy aż za góry Ural, do stacji Kruticha. Dalej jechaliśmy saniami, do baraków wybudowanych w lesie. Baraki były zbudowane z okrągłaków i uszczelnione mchem, temperatura na zewnątrz dochodziła do minus 65 stopni C. Wilki były po całych nocach, baliśmy się bardzo. Straszna to była zima, głód i strach, jedliśmy korę z drzewa lipowego. Zieloną korę zrynało się cienko, esztę suszyło, potem skrubało na mąkę. Z tej mąki, zaparzonej gorącą wodą, robiło się takie kłajtrowate ciasto, całkowicie niestrawne. Bardzo dużo ludzi umierało z tego, gdyż ciasto twardniało w jelitach jak gips, dlatego też NKWD zabraniało to jeść. Tam zmarło dwóch moich braci, ten 10-letni był tak spuchnięty, że wyglądał jak balon z gąbki, drugi, 3-letni, zmarł na cholerynkę. Razem z nami był wywieziony lekarz Żyd, ale nie było żadnych leków.

Początkowo nie wolno było nam się poruszać, nie wolno było odwiedzać nawet najbliższych sąsiadów, znaleźliśmy tylko głód,



ziano i strach.

Latem było trochę lżej żyć, były liście, korzenie, kwiaty jagody. Najlepsza była pokrzywa, ale trzeba było po nią iść daleko, nawet do 30 km, gdyż w pobliżu było już wszystko wycięte.

Najgorsze ze wszystkiego było robactwo, pluskwy i prusaki, niezliczone ich ilości. By uchronić się od pluskw, wkładaliśmy nogi żelaznych łóżek do pojemników z wodą, ale na jedną rodzinę było jedno łóżko, więc reszta rodziny spała na podłodze i trzeba było poskane okładać mokrymi szmatami. Prusaki były wszędzie, w każdej najmniejszej szczelinie, w ubraniu, nawet we włosach. W stołówce wisiał wielki portret Stalina bez ram. Za tym portretem było tak dużo prusaków, że papier odstawał od ściany i słychać było nieustający głośny szelest. Prusaki wpadały do kotła z zupą i do naczyń, z których jedliśmy. Mój ojciec był stróżem, pewnego razu powiedział do kucharki Ukrainki, która też była wywieziona z Polski, że "gdyby to nie był portret Stalina, tylko jakiś inny papier, mogłoby to spalić wraz z milionami jajeczek i robactwem". Kucharka doniosła do NKWD, że stróż kazał spalić portret Stalina. Ojca zabrano do więzienia i znęcano się w najrozmaitszy sposób. Na przykład był kilkakrotnie wyprowadzany na rostrzelanie wraz z innymi ludźmi. Tamtych ludzi rozstrzelano, a ojcu mówiono, że w niedługim czasie też go to czeka. Nie rozstrzelano go, ale ojciec od tego czasu bardzo podupadł na zdrowiu, zaczął chorować.

Jeżeli chodzi o wyżywienie, to ci, którzy pracowali, dostawali po 30 dkg chleba dziennie, a starsuszkowie i dzieci po 20 dkg. Dostawaliśmy też zupę ze zmarzniętych ziemniaków z parą liśćmi kapusty raz na dzień. Chleb był taki ciężki i gliniasty, że jak się ścisnęło w dłoni, to między palcami wychodziła rzadka glina. Wygryzałam tę glinę sponiędzy palców i



nim doczekałam się zupy, chleba już nie było. Od września 1940 roku zaczęłam chodzić do szkoły. W naszej osadzie była szkoła od I do IV klasy, a ja wraz z koleżanką Wacławą Wiadomską chodziłam do V klasy i musiałyśmy dojeżdżać do szkoły 22 km. Do stacji Kruticha szłyśmy 12 km po torach wąskotorówki, odprowadzane przez kogoś z rodziców z zapalonym kuczywem w rękach, dla obrony przed wilkami. Potem 10 km jechałyśmy pociągiem. Pewnego razu ojciec schował nas w parowozie wąskotorówki, mówiąc, że jedziemy do Krutichy, nie zmarzniemy i ojciec nie musi nas odprowadzać. Po przejechaniu około 5 km parowóz zatrzymał się i maszynista nas zauważył. Bardzo na nas krzyczał i wyrzucił na śnieg. Błagałyśmy go, żeby nas dowiózł do stacji, bałyśmy się wilków, nie miałyśmy ze sobą kuczywa, ale nic nie pomogło, parowóz odjechał, a my biegłyśmy, ile się w nogach za tym parowozem. Szczęśliwie dotarłyśmy do stacji i wsiadłyśmy do pociągu. Nie znałam rosyjskiego liter, ale szybko nauczyłam się i w dość krótkim czasie stałam się dobrą uczennicą.

Od 13 roku życia zaczęłam pracować. W zimie chodziłam do szkoły, a w lecie pracowałam przy oczyszczaniu lasu. Różniłyśmy drzewo na metry i ustawialiśmy w kubiki. Z suchych sosen różniłyśmy korażki grubości 5-7 cm i rąbaliśmy w kostkę na tak zwane "czurki". Z "czurek" wyrabiano paliwo do "kukuruzników". Nie miałam siły, ani wprawy, i ciągle miałam pokaleczone palce u obu rąk. Następna moja praca była przy budowie kolei wąskotorowej UZD (Uskaja Żelaznaja Doroga). Na tej budowie pracowali nas pięcioro Polaków: Kazimiera Kisiel, Stanisław Klos, Stanisław Kulesza, Bolesław Tałaga i ja - Genowefa Tracz. Brygadziatą był starszy człowiek, Rosjanin. Pewnego roku moja mama i jeszcze dwie inne kobiety, pani Kisiel i Wiadomska, przez dwa tygodnie zbierały kłosa ze zboża ledwo wystającego ze śniegu. Wyzbiereły te kłosa na 5 hektarach, za co dostały po 2 kg



małki. Pamiętam, jak ojcowie wysłali mnie i dwie moje koleżanki po żywność do sowchozu oddalonego o 36 km, gdzie pracowały nasze mamy. Idąc tam musiałyśmy przechodzić przez rzekę po kładce. Wracając na drugi dzień z paroma ziemniakami i z kawałkiem kołacza z przerażeniem spostrzegłyśmy, że nie ma kładki na rzece. Po drodze mijaliśmy paru młodych ukraińskich chłopców, Rosjan, którzy coś do nas mówili i śmiali się, a my bardzo bałyśmy się ich. To chyba oni zerwali kładkę na rzece. Doszłyśmy do brodu, rzeka miała brzegi wysokie, woda zimna i rwąca, a przy brzegu zamarznięta, sięgała nam po pachy. Noga mi trzeba było sunąć po dnie rzeki, gdyż wartki nurt podrywał nogi i wywracał nas.

Zmarznięte i przemoknięte wróciłyśmy do domu. Odchorowałyśmy to ciężko. Ja byłam słaba i wątła, chorowałam najczęściej, byłam bliska śmierci. Zrozpaczony ojciec odkopał pod śniegu mrowisko, nabrał mrówek, a mama zalała je gorącą wodą w wannie od prania i tak mnie do tej wody położyono, przykrywając kocem. Miałam co chwilę, chorowałam długo, ale po jakimś czasie wyzdrowiałam, jednakże ślad pozostał, od tamtego czasu zaczęły mnie gnębić bóle reumatyczne.

Jesienią 1944 r. wywieziono nas, Polaków, z województwa świętokrzyskiego do chersońskiego, niby to na odżywienie, bo wszyscy wyglądali jak kościotrupy. Ale tam też nie było lepiej. Nawet nie pozwalano nam zbierać kłosów po samosiejach na łąkach. Jeżeli kogoś złapano, zamykano do lochu na 24 godziny. Ja i brat też siedzieliśmy w lochu.

Kiedy wieziono nas do województwa chersońskiego, w pewnej chwili pociąg zatrzymał się w polu. Maszynista i pomocnik wybiegli, by narwać słonecznika. Polacy też pobiegli. Za słonecznikiem rosły pastewne buraki. Moja mama i bracia leżeli chorzy, ojciec nie jechał z nami, był w więzieniu, więc ja musiałam się troszczyć o rodzinę. Kiedy ujrzałam, że inni niosą buraki



wyskoczyłam także i przyniosłam trzy buraki. Już je wrzucałam do wagonu, kiedy zauważyli to konwojenci, Rosjanin i jeden Polak nazwiskiem Karp. Zabrali mi dwa buraki mówiąc, że to buraki państwowe i nie wolno ich brać.

W dalszym ciągu tej podróży dojechaliśmy do jakiejś stacji, której nazwy nie pamiętam. Pociąg zatrzymał się, ludzie wysiedli, by rozpalić jakieś ognisko i ugotować te buraki. Czasu było mało, każdy wpychał swój garnek z burakiem bliżej ognia, a mój garnek ciągle odsuwano. Innym buraki pogotowały się, a mój ledwo się zagrzał, kiedy żołnierz kazał gasić ognisko. Zgarnęłam jeszcze szybko żar, mając nadzieję, że buraki zdąży się ugotować, nim pociąg ruszy, ale podszedł jakiś inny kosocki żołnierz, kopnął w mój garnek i wszystko się wylało. Zrozpaczona zaczęłam strasznie płakać i krzyczeć, że dam mojej chorej matce i braciom do zjedzenia, cały dzień nie nie je daliśmy prócz słonej wody. Postanowiłam odebrać sobie życie, ale moja mama, powiadomiona przez innych, wysłała po mnie brata i ten zabrał mnie do wagonu. Ktoś się nad nami zlitował i dał nam resztki swojego buraka.

Po zakończeniu wojny w 1945 r. do miejscowości, w której przebywaliśmy, przyjechało dobrowolnie wiele ukraińskich rodzin z województwa lubelskiego z całym dobytkiem. Niektóre rodziny zajmowały nawet po trzy wagony. Ja i mój brat paśliśmy u nich krowy. Pewnego dnia jedna z krow zginęła w wysokich zieleńkach i trawach ("burianach"). Nas i ojca aresztowano i trzymano w zamknięciu, dopóki krowa nie znalazła się.

Pomieszczenie, w którym byliśmy zamknięci, było strasznie zanieczyszczone odnośkami ludzkimi, bo nikogo nie wypuszczano za potrzebą fizjologiczną, a ściany od dołu do sufitu zapisane były datami i nazwiskami ludzi, którzy tu przed nami byli zamknięci.

W 1946 roku powracaliśmy do Polski. Na stacji Krośnice

pociąg zatrzymał się, a ja z jedną kobietą nazwiskiem Szczę-<sup>5</sup>  
kowską, wydziałam do najbliższego zabudowania, by uprosić coś  
do zjedzenia. Kiedy wchodziłam za ogrodzenie, zerwał się  
pies z łańcucha i ugryzł mnie w łydkę. Wyszła gospodyni i  
powiedziała ze złością "nie tra było ista" i nie do jedze-  
nia nie dostaliśmy. Noga krwawiła bardzo i bolała, nie mo-  
głam szybko iść i pozostałam w tyle za tą kobietą. Kiedy by-  
łam już blisko wagonu, wskoczył jakiś pijany żołnierz i za-  
czął mnie szarpać i ciągnąć za wagony. Strasznie się bałam,  
na cały głos krzyczałam i wzywałam pomocy, wtedy nadbiegł  
jakiś oficer i kopiąc pijanego żołnierza wyrwał mnie z jego  
rąk. Za chwilę pociąg ruszył.

Po paru dniach dojechaliśmy do Żagania. Tam dostaliśmy z  
PUR-u trochę żywności i zapomogę pieniężną, a chory ojciec  
został zabrany do szpitala. Dalej samochodami przewieziono  
nas do wsi Chrobrów, jakiś <sup>czas</sup> tam zatrzymaliśmy się, ale na-  
statek osiedliliśmy się w wsi Stara Kopernia.